

Czas mija, a wielu z nas nadal nie może uwierzyć, że nie ma już z nami Andrzeja Szczeklika, nie możemy się z tym pogodzić.

Przeglądam nekrologi – powtarzają się w nich słowa: Wielki Lekarz, Humanista, Uczony, Erudyta. Rządziej: Mistrz, Nauczyciel, Dobry Organizator, Wychowawca. Najrządziej: Wspaniały Człowiek, Niezwykły Człowiek. Jakim człowiekiem naprawdę był Andrzej? Czy tylko Wielkim, Wspaniałym...?

O Jego wielkości, o Jego epokowych dokonaniach zawodowych, a także o Jego niezwykłym, wyjątkowym piarstwie powstanie z pewnością jeszcze wiele opracowań. Ja mogę wyłącznie podzielić się kilkoma spostrzeżeniami bardzo osobistymi, gdyż znałam obu braci Szczeklików od bardzo dawna, nawet jesteśmy jakoś tam spowinowaceni.

Wiedzieliśmy wszyscy, że Andrzej jest światowej klasy uczonym i że jest naprawdę wielki pod wieloma względami, lecz dla nas był po prostu świetnym, lubiącym się zabawić towarzyszem, nigdy nie epatującym swoimi zasługami.

Spotykaliśmy się na Jego imieninach w „Piwnicy pod Baranami”, gdzie tryskał humorem, radością, tańczył do upadłego, z flaszką koniaku podchodził do wszystkich stolików, nie zaniedbał nikogo ze swoich gości. Z wdzięcznością przyjmował kolejne numery programu przygotowanego w prezencie przez artystów „Piwnicy”. Atmosfera na tych wieczorach była fantastyczna, a tworzył ją właśnie sam Andrzej i Jego żona Marysia. Pamiętam na przykład jeden taki wyjątkowy, szampański wieczór, gdy świętowaliśmy imieniny trzech Andrzejów: Szczeklika, Wajdy i Potockiego, właściciela pałacu Pod Baranami. Dla Andrzeja te rozrywkowe chwile były ważne – jakże dumny był z tego, że miał zaszczyt tańczyć w „Piwnicy” z cesarżową Japonii, jak wdzięczny za urządzenie mu benefisu w 2003 roku w PWST: mówił, że chętnie ogląda nagranie z tej arcyzabawnej imprezy.

Spotykaliśmy się też w Kościelisku, gdzie rozmowy były o wszystkim, nawet o polityce; notabene – Andrzej miał bardzo jasne i sprecyzowane poglądy, także na to, co stało się z dziedzictwem ruchu opozycji antykomunistycznej, w którym brał czynny udział. Mówiliśmy o sztuce, o której wiele wiedział i którą był bardzo zainteresowany, odwiedzał wszystkie wystawy w naszym Muzeum – oczywiście, nigdy nie bywał na wernisażach, co charakterystyczne. O górach, które prawdziwie kochał i czuł. Miał też potrzebę – dość w jego przypadku wyjątkową – dzielenia się z innymi tą swoją pasją. A potrafił o Tatrach opowiadać pięknie i przekonująco. Nie tak dawno temu cieszył się ogromnie na swoją pierwszą podróż do Meksyku i przygotowywał się do niej – jak zwykle – bardzo solidnie. Tak wiele jeździł, po całym niemal świecie, a wciąż, niezmiennie, był go ciekaw.

Spotykaliśmy się też, przypadkowo, na koncertach. Muzyka była wielką miłością Andrzeja, a zarazem pomocą w życiu, podobnie zresztą jak góry. Bywał w salach koncertowych świata, słuchał zapewne największych wykonawców, ale, gdy tylko miał możliwość, grał sam dla siebie. Rządziej – dla innych, lecz nie krygował się: pamiętam, jak kiedyś bez zbędnych ceregieli zgodził się zagrać dla naszego kolegi na jego urodzinach, i to na nie najlepszym pianinie. Również w ten sposób potrafił się dzielić. Znajdował czas, by się z nami spotykać, bawić, szaleć na sylwestrowych kuligach, smakować jedzenie i wino, rozmawiać.



"Andrzej" (Katharsis) 1909 ni - 03.

A przecież zdążył dokonać tak wiele! Był bowiem Andrzej człowiekiem ogromnie pracowitym, nieoszczędzającym się, zdyscyplinowanym. Kiedy leżałam u Niego w klinice i bardzo wczesnym rankiem tęsknie patrzyłam na świat za oknem, na opustoszały po nocy parking zawsze jako pierwsza zajeżdżała toyota Profesora. A bywało, że zanim wsiadł do porannego ekspresu do Warszawy, wpadał świtem do kliniki, by sprawdzić, jak się mają bardziej zagrożeni Jego pacjenci.

Miałam okazję przekonać się, jakim człowiekiem był Andrzej nie tylko jako kolega czy przyjaciel, ale także jako lekarz. Nie mogę i nie chcę pisać tu o szczegółach, lecz Andrzej swoją decyzją po prostu uratował mi życie. A potem On i Jego pracownicy w klinice opiekowali się mną z największą troską. Wiem wprawdzie, że traktował tak wszystkich pacjentów – tych znanych i nieznanymi, ale do dziś mam poczucie, że to ja byłam najważniejszym pacjentem, że to mnie poświęcał najwięcej uwagi – to był właśnie ten niezwykły dar, jaki miał Andrzej: tak umiał podejść do każdego chorego. Nie muszę dodawać, jak wielki ma to wpływ na terapię. Na czym ten dar polegał? – dam, niemal anegdotyczny, przykład. Kiedy odratowano mnie z zawału, widząc uśmiechniętego Andrzeja nad sobą, ledwie mówiąc, spytałam kiedy i jak będę mogła zapalić papierosa, już z góry przerażona tym, że mi pewnie nie pozwolą. Gdyby wówczas Andrzej ostro odpowiedział mi, że mowy nie ma, że to zabronione, pewnie by serce zareagowało w zły sposób. Ale On udał, że się namyśla, potem mnie uspokoił, mówiąc, że na razie i tak będę spać, a potem „coś się wymyśli”, bo nie chciałby, żebym paliła tutaj, na OIOM-ie, gdzie są butle z tlenem, gdyż byłoby to niebezpieczne. Usnęłam uspokojona. Wymyślił historyjkę o butlach, żeby mnie nie zdenerwować i nie zagrozić sercu! Czyż można było nie mieć poczucia, że się jest specjalnie traktowanym? *Notabene*, już nigdy potem papierosa nie zapaliłam.

A więc – jakim człowiekiem był Andrzej Szczekliki? Wie to zapewne tylko najbliższa Rodzina, gdyż przy całej towarzyskości, zyczliwości i serdeczności był Andrzej dość skryty i to, co najważniejsze, zachowywał w sobie. Dla mnie jednak, i zapewne dla wielu, był człowiekiem bardzo ważnym pod wieloma względami. I mimo że nie wiedzieliśmy o Nim wszystkiego – a o kim naprawdę wiemy? – kochaliśmy Go i nie zapomnimy.

Zofia Gołubiew

Dyrektor Muzeum Narodowego w Krakowie